NUMER 35. DNIA 31-go SIERPNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA



Henryk Siemiradzki.

Umarli mają swoje prawa. Czas sprowadza wszystko — wszystkie wahania sądów ludzkich — do właściwej normy. Z wyroków różnych tworzy on jeden stały, obowiązujący już wszystkich, który następnie trwa dalej, zmieniany tylko w szczegółach i udoskonalany coraz bardziej. Sąd taki nie ma i nie może mieć efektowności sądów doraźnych, wypowiadanych w podwyższonej temperaturze walk stronnictw, kierunków. Zawiera prawdę, która zapewne nie jest stworzona po to, aby bawić ludzi.

Na taką ocenę twórczości świeżo zmarłego ś. p. H. Siemiradzkiego nie czas jeszcze z wielu względów. Podobne oceny tworzą się na tle większych okresów historycznych, przez porównanie z przeszłością — z tem wszystkiem, co oprócz niego inni zrobili. Zapewne w historji sztuki ogólnoludzkiej, napisanej przez Polaka lub kogoś, znającego dobrze polską sztukę, H. Siemiradzki zajmie to stanowisko, które się mu należy. Dziś, w artykule pisanym o nim tylko samym, podobnego stanowiska ściśle wyznaczyć mu niepodobna: przewidzieć można tylko, że będzie ono dla niego pochlebne.

Obrazy ś. p. Siemiradzkiego nie są zbyt znane za granicą, szczególniej w krajach, które dziś przodują w sztuce, we Francji, w Anglji. Muther w ogólnie znanej historji malarstwa XIX stulecia zbył go kilku wierszami. Zmarły daleko więcej znanym był w Austrji, w Rzymie, w Petersburgu, gdzie zaliczano go do malarzy pierwszorzędnych, gdzie znajduje się większość jego obrazów.

U nas pierwsze jego obrazy — „Jawnogrzesznica“, dalej „Wazon czy kobieta“, „Rozbitek“, „Taniec wśród mieczów“, „Pochodnie Nerona“, „Za przykładem bogów“ wzbudziły entuzjam bezkrytyczny, który tłumaczył się tem, że aż do Siemiradzkiego i Matejki podobnych obrazów nie widziano jeszcze, że w naszej sztuce były one pierwsze, które przedstawiały podobne tematy, w taki sposób traktowane i na tak wielką skalę. „Pochodnie Nerona“ już przez samą swą wielkość, efektowność tematu, nagromadzanie ciał ludzkich, architekturę i szczegóły budziły zainteresowanie i przyciągały do obrazu tłumy.

Za to widowisko, za ten entuzjazm, za artykuły wynoszące go po nad wszystkich malarzy współczesnych — swoich i obcych — wkrótce po tem zapłacił najniespodziewaniej sam artysta: zjawiła się reakcja. Kilka artykułów St. Witkiewicza w ówczesnym *Wędrowcu* sprawiło skutek zimnej wody. Publiczność ochłodła. I odtąd chłód ów towarzyszył artyście ciągle, aż do śmierci, pomimo gorących artykułów, pisywanych z powodu jego obrazów, z powodu jego ofiar dla Muzeum w Kra-

kowie i we Lwowie. Zainteresowania ogólnego, uwielbienia, które miał w okresie najlepszym swej twórczości (1875—85), już następnie osiągnąć nie był w stanie. Przeciwnie spadało ono coraz bardziej tak, że jedna z ostatnich jego prac — dekoracje dla Filharmonji warszawskiej — spotkała się z ogólnym sądem niepochlebnym, który, niestety, jak zwykle u nas, bezkrytycznie rozciągnięty został następnie na całą twórczość jego.

Artykuły krytyczne Witkiewicza o Siemiradzkim zawierały prawdę. Ale szkoda, że pisane były w okresie przesadnego uwielbienia dla zmarłego, więc aby przeważyć szalę, główny nacisk położyły na wytknięcie wad, których w obrazach podziwianych nie widziano.

Artykuły, jak wiadomo, pisane były energicznie i zrobiły na ogół wrażenie ocen bezwzględnie potępiających, chociaż takiemi nie były. Zalety, przyznawane malarzowi przez krytyka, wyszły pod piorem jego blado, nie mogły przeważyć uwag wykazujących wady. Artykuły były sprawiedliwe w treści, ale niesprawiedliwe w tonie, czemu nie tyle był winien sam krytyk, co czas, panujące u nas wyobrażenia o malarstwie etc., które zmusiły go do pisania w taki sposób a nie inny, wyrządzając tem niesprawiedliwość zmarłemu, mimowoli stawiając go niżej, aniżeli na to zasługiwał prawdziwie.

Sąd Witkiewicza o zmarłym daje się streścić w następujący sposób: H. Siemiradzki psuł obrazy tytułami. Tytuł dyskredytował kompozycję, mówiąc o intencjach malarza tylko po to, aby widz i krytyk mógł się przekonać, że artysta do tego tytułu obrazu nie dosięgnął.

Zmarły nie miał w sobie tragizmu, który mógłby udźwignąć podobnego rodzaju tematy, jak „Świeczniki chrześcijaństwa“, orgje rzymskie i t. d., dać im życie, prawdopodobieństwo życia, chociażby najbardziej fantastycznego, ożywić ludzi, których wprowadza na płótno, podnieść kolorem, światłem, siłą nastroju, zlać to wszystko w obraz jakiegoś jednolitego wrażenia malarskiego, wyciągniętego z rozczytywania się w historji, z pamiątek, pomników, wreszcie z własnej wyobraźni. Wszystkie prawie postacie na jego wielkich płótnach z tytułami są obojętne, często gorzej, bo konwencjonalne, malowane z modelów, pozujących od godziny do godziny. „Strona psychiczna — mówi Witkiewicz — jest najsłabszą stroną figur Siemiradzkiego. Nie włada on *absolutnie wyrazem* i nie jest w stanie twarzą i ruchem wypowiedzieć tego, co z jego uczuć na zewnątrz się przejawia.

Nowa książka o Krakowie.

(Walery Eljasz Radzikowski. „Kraków dawny i dzisiejszy, z planem miasta i 65 illustracjami“. Str. VII. 648. W Krakowie.

Z przedmowy dowiadujemy się, że książka ta ma być przewodnikiem po starej stolicy Polski. O tym samym celu mówią także ostatnie, ściśle informacyjne rozdziały. Całość jednak pracy nieskończenie przerasta wydawnictwa tego typu. Czuł to i sam szanowny Autor, gdy podnosi, że główną pobudką była mu chęć spopularyzowania najnowszych wyników badań nad przeszłością Krakowa. Nie nazwał też swej książki „przewodnikiem“, dał jej jako tytuł wyraz potężny wymową: „K r a k ó w“. Tak, to jest Kraków ze swoją przeszłością i teraźniejszością dziejową, — z historją kultury, zawartą w głazach świątyń i innych zabytkach sztuki, z chwilą obecną, o ile się ona wyraża w życiu instytucyj, stowarzyszeń, w obchodach, zwyczajach. Tak, to Kraków, ujęty słowem historyka i ołówkiem artysty, — „Kraków, który jest dla Polski“ — jak mówi słowo wstępne — „żywą księgą sławy i kultury narodowej, skarbcem najdroższych pamiątek i ogniskiem idei odrodzenia Ojczyzny“...

Na całość dzieła składają się cztery działy.

W dziale pierwszym, obejmującym historję miasta od czasów pierwotnych do ostatnich, Autor opiera się na źródłach i pracach najnowszych, prostując niejedno mylne mniemanie, które miało dotąd śród ogółu prawo obywatelstwa.

Żadne stany psychiczne, żadne porywy uczuć, poza szablonem akademickim, nie patrzą z twarzy przez niego malowanych. Jego ludzie nie mają charakteru indywidualnego, nie mają nerwów, ani namiętności, nie myślą i nie czują. Kobieta w obrazie „Za przykładem bogów“ ma ten sam wyraz znudzenia, co pozująca w „Jaskini piratów“, co rzymianka, patrząca na męczeństwo chrześcijan. A przecież jedną całuje kochanek, druga, związana powrozami, siedzi w jaskini, trzecia patrzy na coś, co mogłoby wzruszać, a przynajmniej interesować chociażby rzymianki; nawet Marja, słuchająca Chrystusa, ma to niechętne skrzywienie“.

To samo możnaby powiedzieć o kolorze i świetle tych obrazów zmarłego, w których chciał on, jak w „Pochodniach Nerona“, wyrazić jakąś silną tragedję, lub wprowadza do obrazu postacie tak wyraziste, tak silnie zarysowane w historji, jak Neron, Tyberjusz, Fryne — takie sceny dziejowe, jak męczeństwo pierwszych chrześcijan, orgje, lub podobne postacie, co Chrystus, Marja, męczennicy i ich oprawcy. Wtedy kolor i światło obrazów Siemiradzkiego okazują się za mdłe, za mało silne, za mało przesiąkłe czemś, co w obrazach takich, jak Rembrandta, Giorgiona i wielu spółczesnych, samo przez się wywołuje w widzu nastrój, harmonizujący z treścią sceny, rozgrywającej się przed jego oczyma.

Takich niedociągnięć w obrazach z treścią, niedociągnięć do wyrazu, nastroju — do podpisu w kartce tytułowej — u zmarłego artysty spotyka się bardzo wiele. Witkiewicz wymienia je często, podkreślając to, że zmarły malarzem psychologiem nie był, że nie miał danych do malowania wielkich tragicznych scen historycznych.

Kierunek ten, dążność zostały mu zaszczepione, narzucone przez akademję, którą skończył, następnie przez panującą wówczas modę, czy kierunek w Europie, reprezentowany przez Kaulbachów, Pilotych, Almę Tademę, Bougereau etc., uprawiających pseudoklasycyzm akademicki, rozmazujących wielkie sceny historyczne na płótnach olbrzymich rozmiarów. Malowania owych wielkich płócien nauczył się zmarły w akademji; nagradzano je medalami, publiczność i krytyka popierała je zachwytem, pchając artystę na drogę, ku tematom, które nie leżały w jego naturze.

Ś. p. Siemiradzki, taki, jakim wyraził się w najlepszych rzeczach swoich, była to natura spokojna, zrównoważona, skłonna do rozmiłowania się w łagodnem — w pięknie, które nie porywa tragicznym wyrazem, siłą, grozą, głębią du-

---

Od poważnego tła barwnie i wdzięcznie odbijają rozdziały, poświęcone zwyczajom, obchodom i legendom. Z zamiłowaniem etnografa i folklorysty opowiada Autor o „w i a n k a c h“, „k o n i k u z w i e r z y n i e c k i m“, słynnych „s z o p k a c h“ krakowskich, powtarza podania o stopce królowej, o bogobojnych zakonnicach, które ziemia ukryła przed poganami, o miłosiernym Zbawicielu, co z krucyfiksu rzucał bogate trzewiczki grajkowi za piosenki, aby go poratować w niedoli, o dzwonie pękniętym, poetyczniejszym od dzwonu Hauptmana, co modli się głuchym jękiem za utopionych... Ładne to wszystko, tęczowemi barwami fantazji grające, dziwne i cudne, jak — baśń.

W dziale drugim czytelnik znajduje opis stowarzyszeń i instytucyj, od takich, jak Akademja Sztuk Pięknych i Bibljoteka Jagiellońska, które dostarczają karmi dla ducha narodu, do dobroczynnych, co niosą chleb głodnym ustom, zapewniają opiekę znękanym ciałom. Dział ów zamykają opisy kopców Krakusa, Wandy i Kościuszki, pomników, wzniesionych z materjału najdroższego i najświętszego: z ziemi ojczystej, przez mistrza nad mistrzami: lud!

Dział trzeci, najobszerniejszy, obejmuje liczne i wspaniałe kościoły, któremi się chlubi Kraków, zwany słusznie małym Rzymem. Autor mówi tu o historji powstania i losach każdej świątyni, tłumaczy każdy szczegół architektoniczny, wyjaśnia znaczenie dzieł sztuki: rzeźb, obrazów, nagrobków. Niezrównanemi są zwłaszcza rozdziały, poświęcone katedrze. Autor, artysta-malarz, któremu piśmiennictwo historyczne zawdzięcza studja o koronach królewskich i szczerbcu, znajduje tu wdzięczne dla siebie pole i traktuje rzecz szeroko.

Dział czwarty nareszcie, ostatni — to szereg drobnych monografij o gmachach miejskich i ważniejszych miejscowościach poza miastem; są

szy, będącej w stanie napięcia, wybuchu, w chwili nierównowagi, wykolejenia się, upadku lub entuzjazmu. Fryne jego nie jest heterą, Tyberjusz szaleńcem, trawionym manją prześladowczą; pieczeni na ogniu męczennicy w twarzach nie mają bolu i zachwycenia męczeństwa, Neron jest tylko znudzony, tłum na widok obnażającej się Fryne tylko pozuje.

Natomiast w takich obrazach jak „Taniec wśród mieczów“, „Sąd Parysa“, „W pogoni za motylem“, „Dziewczyna rzymska u źródła“ i in. pejzaż jest śliczny, słoneczny, łagodny, szeroki, pełen przestrzeni, powietrza, światła, które nie mówią nic więcej same przez się — nic więcej prócz tego, że artyście podoba się owo czyste błękitne niebo, owe pozielenione mchem stare marmury, perląca się woda, szare pokrzywione fantastycznie oliwki, zieleń trawników, róże, kwiaty, oddalony horyzont morski, nad którym niby fjoletowe mgły rysuje się ląd i góry — wszystko skąpane w powietrzu południowem, przejrzystem, bez mgły, nasiąkłem blaskami słońca i refleksów.

W „Tańcu wśród mieczów“ zmarły wypowiedział się najpełniej, najwyraźniej wyraził to, co lubił najbardziej i co mógł najlepiej: południowy pejzaż, odległy, z niebem błękitnem, przeglądającem przez plątaninę liści i gałęzi starych pogiętych oliwek; plamy blasków słonecznych rzucone na ziemię, na kwiaty, na kobierce, na barwne materje, marmury, nagie ciała ludzkie; ciepło, spokój, nawet pewna ociężałość jakiegoś cienistego zakątka we wspaniałej willi; tancerka-niewolnica trochę znudzona, prezentująca w wyuczonem zgięciu swoje ciało kilku starcom, odprawiającym przy winie popołudniową siestę; kilka niewolnic grających — oto treść „Tańca wśród mieczów“ — najlepszego z obrazów Siemiradzkiego, jednego z tych, który wyróżniłby się w każdej z wielkich współczesnych galerji.

Ma on w sobie swój ton specjalny, łagodny, przesycony barwą i światłem słonecznego pyłu, kwiatów i jasnego nieba, dając nie realny obraz, a lepiej, bo marzenie o jakiemś idealnem, klasycznem południu, które zapewne nigdy nie istniało po za wyobraźnią samego artysty. Z tego względu obraz ten jest poezją, jest wytworem duszy, wzruszenia pewnego gatunku artysty, jakim był Siemiradzki, rozmiłowanego w tem, co w tym obrazie przedstawił. On mówi o jego indywidualności jako artysty, zdradza jego rasę — spokój, melancholję jasną zmysłowość słowiańską, która znalazła swoją karm, wśród rasy, klimatu, natury, od-

więc tu: muzea, Sukiennice, uniwersytet, teatr, a także Łobzów, Mogiła, Wieliczka i t. d.

Wartość dzieła podnoszą niepospolicie ilustracje. Jest ich 65, a prawie wszystkie wykonane wedle oryginalnych rysunków samego autora, który wiedział dobrze, co zasługuje na reprodukcję, co jest godne utrwalenia w pamięci serc polskich. Jest więc tutaj i korona piastowska, znaleziona w grobie króla chłopków, jest i pełna charakteru grupa włościan krakowskich; są przecudne rzeźby z kościoła Marjackiego, jest i Krakus... Założyciel Krakowa, w pełnem uzbrojeniu rycerskiem, depce legendowego smoka, którego zwyciężył. Nie wygląda jednak na tryumfatora. Twarz ma chmurną, stroskaną. Czemu? Miałżeby wieszczem okiem sięgać w przyszłość i widzieć, że potwór odrodzi się po wielu wiekach pod inną, żarłoczniejszą postacią i znowu pożerać będzie dzieci tej ziemi? — Miałżeby przeczuwać, że nad brzegami domowej jego rzeki zabrzmi znowu tęskna piosenka, ktorą wyobraźnia poety do smoczych odnosi czasów:

Wisło biała, matko biała,
Czemu mętne wody Twoje?
— Jakże mętne być nie mają,
Kiedy do nich łzy padają?
Lud na brzegu ręce łamie,
Ręce łamie i ratunku
Woła, a ratunku niema....

M. W.



rębnych, na dalekiem południu, przed tysiącami lat, w cywilizacji, która właśnie bardzo mało miała w sobie tych pierwiastków, które w nią włożył Siemiradzki.

I dla tego też jego Grecja ani Rzym nie jest Grecją ani Rzymem, lecz marzeniem człowieka północy, który śni o Italji, o słońcu, jasności, tak jak wyobraźnia ludów południa kocha się w czarnem, strasznem i ponurem.

Wszystkie obrazy Siemiradzkiego, w których występuje ich pierwiastek łagodnej jasności, marzycielstwa o południu, niby w bajce — są utworami prawdziwej sztuki, prawdziwej poezji — jako malarstwo są dobre (obrazy „Taniec wśród mieczów“, „Sąd Parysa“, „W pogoni za motylem“ itd.). Pomimo obcości tematów, należą one bezsprzecznie do naszej sztuki narodowej. Chociaż malują południe, klasycznych greków i rzymian, stanowić będą bezsprzecznie nabytek naszej indywidualnej cywilizacji, jako najlepsza cząstka zmarłego artysty, a zarazem owo dobre ziarno cywilizacji ogólnej, u nas wyrosłe.

Inne jego obrazy, w których ten pierwiastek zatarł się, zepsuł, był zduszony, będą — po raz nie wiem już który — świadczyć, że nikt, nawet największy artysta, nie jest w stanie bezkarnie wyjść po za szranki, wyznaczone mu przez naturę jego genjuszu; że wszelki wpływ, który pcha go w tym kierunku, czy świadomie, czy bezwiednie, czy to drażniąc jego ambicję, czy zmuszając go do tego przez wpływ panującego kierunku, gustów — był i zawsze będzie w najlepszym razie jałowy. Symbolów, myśli, intencji, których artysta po malarsku na płótnie nie wyraził, nikt nie spamięta. Będą one zawsze czemś nieudanem. Ktoś inny przyjdzie, zrobi inaczej i lepiej. Pozostanie tylko to, co było prawdziwym wykwitem indywidualnego ducha artysty, jego organizacji, jego zmysłów — tych nikt inny inaczej, ani nawet lepiej nie zrobi.

Zapewne znajdzie się jeszcze wielu malarzów, którzy będą malowali południe klasyczne greków, rzymian starożytnych. „Taniec wśród mieczów“ i inne zawsze ocaleją, zawsze wytrzymają porównanie i zachowają swoje stanowisko właśnie dlatego, że żyje w nich indywidualność odrębna, interesująca, która się całkowicie wyraziła. Gustaw Moreau malował również świat klasyczny i symbole. Siemiradzkiego dekoracje do Filharmonji warszawskiej, postawione obok niego, mogą spaść nisko, dlatego, że są słabe. „Taniec wśród mieczów“ będzie tylko *innym*, inaczej, przez inną indywidualność *pojętym* obrazem. Wszelkie zaś rozprawy nad tem, który z tych dwóch sposobów ujęcia malarskiego jest wyższy, z punktu widzenia sztuki pozostaną jałowym, akademickim sporem, który do żadnego wyniku nikogo jeszcze nie doprowadził i nie doprowadzi nigdy.

Ś. p. H. Siemiradzki, oceniony na zasadzie swoich najlepszych dzieł, tych, w których był sobą, wyraził się w swoich upodobaniach całkowicie, w których postawione zadanie nie przerastało jego sił, pozostanie zawsze prawdziwym artystą, jednym z tych, którzy tworzą sztukę. Wpływ jego na nasze malarstwo nie jest wielki, daleko więcej wpłynął on na literaturę. — „Quo vadis“ obrazom Siemiradzkiego zawdzięcza wiele więcej, aniżeli o tem sądzić można z tych wszystkich krytyk i sprawozdań, które o niem pisano. Nadto, obrazami swymi zmarły budził u nas zawsze zainteresowanie dla sztuki. Nie zawsze dobrze sam na tem wychodził. Ale przyszłość odpłaci to jego pamięci i oby jak najprędzej!

(„Kurjer Warszawski“) *F. Jabłczyński.*



JÓZEF JEDLICZ.

Z cyklu: „U ŹRÓDŁA“.

Modlitwa.



Duszo moja znużona leć nad polny ruczaj
I tam swe ślepe żądze tajemnie nauczaj:

By zdaleka od zgiełku, samotnie, wytrwale,
Dążyły w swe nieznane, tajemnicze dale...

By miały białą czystość i zadumę kwiatów,
Którym wystarcza pełnia własnych aromatów...

By, jak liść, który wichry nad łąką unoszą,
Mknęły, gardząc spoczynku poziomą rozkoszą...

By lśniły, niby jutrznie wschodzące o brzasku,
Pełne wyniosłej dumy, potęgi i blasku.

Narodowe pierwiastki emigracji.

W czasopiśmie, wydawanem przez Böhm-Bawerka, Inama-Sternegg'a i Plenera: „Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik u. Vervaltung“, ukazała się praca o emigracji dr. Buzeka, znanego z paru cennych monografij statystycznych, szczególniej z pracy o fluktuacji śmiertelności i urodzeń w Galicji pod wpływem urodzajów oraz cen na zboże. Niniejsza praca o emigracji (Das Auswanderungs-problem u. die Regelung des auswanderungswesens in Oesterreich) daje nader obfity a różnostronny statystyczny materjał o emigracji w Austrji, ułatwia więc omówienie tej tak ważnej dla nas kwestji.

Dr. B. zaznacza we wstępie swej pracy, że opinja publiczna w Austrji ignoruje istnienie emigracji w Austrji. Co więcej nawet nauka austrjacka nie zajęła się tem zagadnieniem. Rząd zapowiedział w swym programie, zawartym w mowie tronowej, przedłożenie podczas bieżącej sesji parlamentarnej regulacji ustawy o emigracji, ale trzeba się obawiać, że akcja rządu nie spotka się z współudziałem społeczeństwa.

Fakt na pozór dziwny, że w Austrji studjuje się pilnie emigrację z Niemiec lub Anglji, gdy na emigrację z Austrji nie zwraca się dostatecznej uwagi, znajduje naturalne objaśnienie w narodowych stosunkach tej monarchji. Niema tu duchowej łączności między zamieszkującemi państwo narodami. Niemcy nie wiedzą o potrzebach Polaków, Włochom jest obojętnym los Czechów itd.

Fakt powyższy może, zdaniem naszem, służyć za dowód, że, o ile chodzi o sprawy, posiadające narodowo-ekonomiczne znaczenie dla poszczególnych narodów, parlament austrjacki nie jest zdolnym do ich rozwiązywania. Sprawy te musiał by też wziąć w Galicji w swe ręce Sejm krajowy, ale paru tygodniowe sesje jego nie dają czasu do roztrząsania ważniejszych spraw krajowych, jego szczupły, dwadzieścia parę miljonów koron wynoszący budżet, nie daje możności skutecznego załatwiania ważniejszych spraw, wytworzenia odpowiednich agentur. Żywotna więc sprawa dla kraju naszego, sprawa 30-tysięcznej emigracji na stałe, sprawa ułatwień dla naszej niemal stotysięcznej emigracji zarobkowej pozostawiona jest całkiem żywiołowemu biegowi.

Tu, jak w tylu innych sprawach wyłania się kwestja prawno-państwowych warunków bytu Galicji, kwestja odpowiedniej dźwigni dla naszego narodowego rozwoju.

Sprawa emigracji jest to sprawa ekonomiczna i narodowa. Nie da się tu, jak w tylu innych objawach życia społecznego, ściśle oddzielić ekonomicznych od narodowych pierwiastków. Charakter ekonomicznej emigracji różnych ludów zależny jest od ich kulturalnych właściwości, od ich związków językowo kulturalnych, a więc od ich cech narodowych. Przykładów na to znaleść moglibyśmy bardzo dużo, nie wychodząc nawet po za fakty zebrane w pracy dr. Buzeka.

Z włoskiej części Tyrolu ludność wychodzi na zarobek i na stałe do Lombardji, z północnej niemieckiej części Tyrolu do Bawarji, z północnych Czech zaludnionych niemal wyłącznie przez Niemców widzimy znaczną emigrację do Saksonji. Niemieckie części Austrji i cesarstwo niemieckie przejawiają znaczną wymianę swej ludności. Gdy w r. 1880 ilość austrjackich poddanych w państwie niemieckiem wynosiła 116.720, w r. 1895 216.107. Francja, przez swój minimalny przyrost ludności pociągająca cudzoziemców, wskutek różnic kulturalnych i językowych mniejszą siłę przyciągającą przejawia dla „austrjaków“, niż państwo niemieckie; liczono ich we Francji, w 1881 r. 8.728, a 1891 9.468, a więc mniej, niż w małej Szwajcarji, w której ilość austrjackich poddanych wzrosła z 12.859 do 13.741.

Właściwości poszczególnych ludzi występują też w charakterze ich emigracji. Zdolny do pracy intenzywnej, przedsiębiorczy i rzutki Mazur wśród ciężkich warunków humanitarnego rozwoju Galicji, podnosi swój dobrobyt i kulturę materjalną kraju przez liczną emigrację zarobkową. Bardziej ociężały, nieprzystosowany do intenzywnej kultury chłop ruski, bierze dziesięćkrotnie słabszy udział w emigracji zarobkowej. Parę prób użycia Rusinów do robót górniczych na Śląsku skończyło się zupełnem fiaskiem.

Zarobkowa emigracja mazurska zwraca się z natury rzeczy do krajów o wyższej kulturze ekonomicznej, a więc posiadających wyższą płacę, wogóle lepsze warunki pracy. Kolonizacja rolna mazurska podąża przeciwnie do krajów o bardziej ekstensywnej kulturze rolnej, krajów stosunkowo mało zaludnionych. Parana, gdyby tylko rząd brazylijski nie stawił tam trudności dla naszej kolonizacji, jest tu krajem najbardziej wskazanym Kolonizacja nasza do Argentyny dała też dosyć zadowalniające rezultaty, jakkolwiek nie posiada pod względem narodowym przyszłości. Na terytorjum galicyjskiem kolonizacja mazurska przez nikogo nie popierana, przezwyciężając olbrzymie trudności, czyni postępy w Galicji wschodniej, dzięki czemu polska ludność w tej części kraju wzrosła podczas ostatniego dziesięciolecia o 22 prc., gdy wogóle ludność Galicji wzrosła o 10 prc.

W sprawie wychodźtwa i kolonizacji, ruska ludność w Galicji znajduje się w gorszych warunkach, niż Mazurzy; kraju mniej zaludnionego, o niższej kulturze ekonomicznej, ułatwiającej chłopu ruskiemu zdobycie z łatwością warunków pomyślnych pod względem gospodarczym nie znajduje na zachodzie. Z natury rzeczy musi on zwrócić się ku wschodowi. Na tym gruncie powstała w 1892 r. dążność wśród Rusinów do emigracji za kordon rosyjski. Legendy, któremi karmiła się i podsycała ta emigracja: rozdawanie ziemi przez cara, była tylko załamywaniem się w kształtach fantastycznych agitacji moskalo-

filskiej popów ruskich i knowania Rosji wśród Rusinów galicyjskich. Przeszło 6.000 osób wyemigrowało do Rosji, ale tam zamiast spodziewanych łask spotkali się z etapem i odstawieniem do granicy. W ciągu paru tygodni przeszło połowa tych emigrantów ogołocona ze środków wróciła do kraju. Następnie widzimy argentyńską, brazylijską i kanadyjską emigrację wśród Rusinów, w roku zeszłym nie mającą powodzenia emigrację do Bośnji. Niepowodzenie tej ostatniej emigracji należy, zdaniem naszem, przypisać rządowi austrjackiemu, który nie umiał, czy nie chciał przyjść w pomoc emigrantom, ułatwić im założenie gospodarki.

Wł. Studnicki.

(Dok. nast.)



EMMA JELEŃSKA

7)

Z MIŁOŚCI.

Milczałyśmy więc dobrą chwilę, aż wreszcie panna Użyńska, skończywszy egzamin, rzekła: „Zdaje mi się, że napróżno fatygowałam się do pani. Nierozumiem doprawdy, dlaczego mi tyle o pani nagadano. Tak mi się widzi, że pani nie do tego“. Mnie zaczynała bawić ta cała mistyfikacja i spytałam: „Któż to był tak łaskaw nagadać pani o mnie? I czy można wiedzieć...“ „Kto? — o to mniejsza. A do czego ja przyszłam? — zaraz powiem. Ot, taka rzecz: zakładamy — kilka tu osób razem — no, wszystko jedno kto — zakładamy taką niby ochronkę — zdaje się, że po świecie nazywa się to żłobek. Od jesieni zakładamy dla malutkich dzieci, tak żeby matka idąca na robotę, mogła tam dziecko zrana odprowadzić, a wieczorem zabrać. Czy pani rozumie?“ „Rozumiem“ odparłam, i zaśmiałam się, bo widocznie ta panna bardzo wątpiła w moją inteligencję. „Czego się pani śmieje?“ Takie wielkie damy, jak pani, to mogą wcale tych prostych rzeczy nie rozumieć. Cóż one widziały, w salonach siedząc! czy one wiedzą, co to bieda — co to ludzkie życie?“ „Ale — przepraszam panią — ja najprzód nie jestem wielką damą, a powtóre taki żłobek odwiedzałam nieraz w Warszawie“. „Odwiedzała pani! ot jak dobrze! No, to proszę wszystko opowiedzieć, jak tam jest“. Opowiadanie zaczęłam — a ona mi co chwila przerywała zapytaniami: „A ile razy jeść dają? A co dają? Ile mleka? Ile kaszy? Jaki chleb? A czy są kołyski? A ile dzieci ma do pielęgnowania jedna niańka? A co robią starsze? Czy zajmują je jakiemiś robótkami? itd., itd.“ Na szczęście, wiedziałam prawie wszystko, bośmy kilka razy chodziły tam z Julką, która jest w wielkiej przyjaźni z siostrą Filomeną. Nieraz i po parę godzin przebyłyśmy wśród tej dzieciarni. Opowiadałam więc. A tymczasem złe dla mnie usposobienie panny Użyńskiej ustępowało po trochu, i zaczynała mnie łaskawiej traktować. „To pani

o tem lepiej wie odemnie“, rzekła, gdy ja skończyłam. „A ja myślałam, że taka dama, to o niczem pojęcia niema. No, ale teraz rzecz najważniejsza. Pani nie ma dzieci, jest zupełnie swobodna, młoda, zdrowa — nic pani niema do roboty — to może pani zajmie się tym naszym żłobkiem?“ Ja nie wiedziałam co odpowiedzieć, a ona mówiła dalej: „Widzi pani, tak: naturalnie, że funduszów na to jeszcze nie mamy, ale Opatrzność czuwa, i gdy tylko chodzi o dobrą rzecz, to przychodzi z pomocą. Przytem, mamy już obiecane mieszkanie i opał — a to grunt. Więc, gdyby pani wzięła to na siebie, to trzebaby się zebrać, obliczyć wszystko, obmyśleć jak i zkąd dostać pieniędzy. A potem, to już tylko doglądać, kontrolować kucharkę, dopilnować jedzenia, nianiek, czystości koło dzieci — ze starszemi trochę się zająć, czasem jakąś koszulkę, lub sukienkę im poszyć — bo to pewnie będzie nieraz oberwane — biedactwo! Ot, zwyczajnie, nic wielkiego“. Mówiła o tem po prostu, ale ja obliczałam sobie, że takie zadanie — chcąc je jako tako wykonać — pochłonie czas, myśl całą, zajmie mi prawie dzień cały. „To trzeba zupełnie się temu oddać,“ rzekłam prawie do siebie. „A naturalnie,“ odparła ona — „trzeba. Ale cóż pani ma lepszego do roboty?“ Mówiła to tak naiwnie, że się zawstydziłam mojego wahania. Jąkać coś zaczęłam o mężu... „O, mąż pani!“ zawołała. „On panią pierwszy będzie do tego namawiał. Przecież go znam! To taki społeczny człowiek!“

I na tem stanęło, że po naradzie z mężem, dam jej co prędzej odpowiedź. Ale ta narada całkiem inaczej wypadła, niż ona przeczuwała. Najprzód, Karol, gdy mu powiedziałam o tej wizycie zdziwił się i wydawał się bardzo nierad... „Narwana jest, narwana...“ powtarzał. A o zajmowaniu się owym żłobkiem ani słuchać nie chciał. „Dajże pokój!“ mówił — „czy tobie siedzieć godzinami całemi w dziurze jakiejś i niańczyć dzieciska! Ani pojęcia nie masz o tem. Po tygodniu rzuciłabyś wszystko — zdenerwowałabyś, zamęczyłabyś się tam z niemi. To wcale nie zabawka — taki żłobek! Ja nie chcę wprzęgać cię do takiej pracy“. „Ty sobie wyobrażasz, Karolu, że jestem do niczego“, zaprotestowałam — „sam pracujesz dla społeczeństwa, a mnie — to nie pozwalasz“. „Ale — to zupełnie co innego. Zresztą, powiedz prawdę — masz wielką ochotę do tego?“ Wziął mię za ręce i patrzał prosto w oczy. A ja zaczęłam się śmiać — bo naprawdę, to wcale nie czuję w sobie popędu do tego niańczarstwa — a jeśli się upierałam, to tylko tak sobie — na przekór.

Więc stanęło na tem, że grzecznie odpiszę i trochę pieniędzy poszlę na ten żłobek — ale odmówię własnego w tem udziału.

Miała rację panna Użyńska: napróżno się fatygowała.

5. Lipca. A może szkoda, żem pannie Użyńskiej odmówiła? Miałabym zajęcie wyraźne, pewne zobowiązania, cel w życiu. Byłabym choć trochę pożyteczną. Brałabym chociaż malutki udział w pracy dla ogółu, w tej pracy, której się Karol poświęca. A gdybym się z zadania dobrze wywiązała, możeby i on trochę więcej szanował. Możeby to między nami zawiązało jakąś nić bliższą. Może...

Pewnie, że samo to zajęcie nie nęciło mię — ale byłabym się przyzwyczaiła.

Może i szkoda, żem odmówiła? Czy ja wiem! Czy ja wiem!

Gdybym miała własne dzieci, to wszystko byłoby takie proste i jasne! Mój Boże, mój Boże! i czemu my nie mamy dzieci?

Ale ciekawam, dlaczego Karol nie zgodził się na to zajęcie? Dlaczego był nierad? Przecie, taka robota, to w jego stylu! I wogóle, dlaczego on się wcale nie stara skierować mnie na tę drogę — przeciwnie, odwraca mię od niej. Nie rozumiem.

Nigdy nie przypuszczałam, aby życie było tak pełne zagadek.

10. Lipca. Wyjeżdżamy jutro na cały miesiąc. Chwała Bogu! cieszę się z tego jak dziecko, bo już mam dosyć tego miasta, tych murów i tej spiekoty. Ostatniemi czasy Karol był zajęty, że go prawie nie widywałam. Aż zmizerniał z nadmiaru pracy. Dobrze, że odpocznie.

Ja też spędzałam dnie całkiem samotnie, i poraz pierwszy w życiu, nudziłam się trochę. O książki było trudniej; skończyłam obraz do salonu malować, a wobec prędkiego wyjazdu, nic nowego nie chciałam rozpoczynać; bliżsi znajomi wszyscy się porozjeżdżali, nawet Rucza nie było. Dnie całe siedziałam w domu — nawet zaczęłam prawdziwie żałować, żem się tym żłobkiem nie zajęła — miałabym coś do robienia. Tylko pod wieczór szłam do ogrodu, nad rzekę, i tam siadałam z książką. Na szczęście moje, Miłkowiczowa, wcale nie mogąc wyjechać z miasta, spędzała tam

z dziećmi całe poobiedzie. Więc zbliżyłyśmy się i zaprzyjaźniły się trochę. To jest dzielna kobieta — i rzeczywiście — ideał dobroci. Jakie to zaradne, praktyczne, mądre stworzenie! Jak ona swe dzieci doskonale wychowuje! Jak umie, pomimo bardzo ograniczonych środków, utrzymać dom na przyzwoitej stopie, być zawsze gustownie, porządnie ubraną, dostarczyć swoim wszystkiego, co dla zdrowia i dla umysłu potrzebne, należeć do wszystkich dzieł dobroczynnych i społecznych! A szczególniej — jak ona umie tego męża uszlachetnić. Ja z podziwem i z zazdrością patrzę na nią. Tak ją lubię, gdy w zgrabnej popielatej sukience, w białym kołnierzyku i mankietach, idzie otoczona swoją gromadką: dwóch chłopaków w gimnazjalnych bluzach, o sprytnych czarnych oczach, dwie uczące się już dziewczynki, z których jedna ładna, jak marzenie, i małe, pękate bobo siedmioletnie, białe i różowe, pieszczoch całej rodziny. To wszystko czyste, wyszorowane, posłuszne, zdrowe i karne — a z taką czcią dla obojga rodziców, że patrzą im tylko w oczy i życzenia zgadują. Nawet Michaś, największy pod słońcem łobuz, traci rezon, gdy matka spojrzy surowo na niego.

Jakże marnie wyglądam przy niej ja, z tą moją panieńską „śliczną figurą“, taka jedna na świecie w porównaniu do tego żyjącego grona, co z niej powstało i nią żyje! No i mąż — to też jakby jedno z jej dzieci, najstarsze i może najtrudniejsze do prowadzenia, ale również od niej zależne, również patrzące w jej oczy z zaufaniem i czcią. Mówiono mi, że tak od początku nie było. Ciężkie miała przejścia. On był niedołęgą, hulaką, lubił żyć i używać, a do pracy nie brał się wcale. Ale kochali się, — i powoli, powoli, ona go przyprowadziła do porządku. Teraz, nie jest wprawdzie orłem — ale pracuje sumiennie, swoje obowiązki wypełnia, jest dobrym ojcem i dobrym — rozkochanym nawet — mężem. Może na dnie sumienia ma świadomość tego, co jej zawdzięcza, może uznaje, że dzięki jej wpływowi jest takim, jakim jest, że bez jej miękkiej, ale silnej dłoni, byłby poszedł gdzieś na manowce. To też okazuje jej bez wstydu swoje przywiązanie i swoją cześć. Prawie nie było dnia, aby nie zabiegł do parku choćby na małą chwilkę, spojrzeć na Misię, pocałować dzieci, pohuśtać na kolanie malutkiego. A gdy tylko służba nie powoływała go gdzieindziej, to całe wieczory spędzał ze swoimi. Polubiłam go za to, pomimo jego wyłupiastych oczu i zmysłowych ust. I zazdrościłam im w duchu. „Wie pani“ powiedział mi razu jednego — dopóki Misi czegoś nie opowiem, co mi się zdarzyło, albo co posłyszałem — to mię dusi — ot tak, poprostu — dusi“. Gdy odszedł, spytałam: — „Czy naprawdę mąż pani zaraz wszystko opowiada?“

— O, jakżeby mogło być inaczej! zawołała żywo. A po chwili spojrzała na mnie, ale tak przenikliwie, że zaczęłam się rumienić.

Tak, ona widziała wyraźnie, co się we mnie działo.

Odtąd, była dla mnie bardzo serdeczna. Naprowadziła rozmowę na stosunki małżeńskie, na życie wspólne, na różne rodzaje charakterów męzkich. I nieznacznie, niby nie do mnie, dawała mądre rady. Ja też niby nie do siebie je przyjmowałam — ale często i długo rozmyślałam nad niemi.

Bo sens moralny taki: Małżeństwo to nie zabawka, ani sen uroczy, ani naturalny stan, do którego już od urodzenia jesteśmy przygotowane. Małżeństwo — to ciężki trud i zawiłe zadanie, do rozwiązania którego trzeba się brać świadomie. Miłość jedna rozwiązać go nie potrafi. Więc kobieta wychodząca za mąż powinna być tak wyrobioną moralnie, powinna mieć w sobie taki hart i taką moc charakteru, żeby swego spokoju i swego szczęścia nie pokładać wyłącznie w mężu, żeby nie być od niego zupełnie zależną, i żeby módz stać o własnej sile. Człowiek, choćby najlepszy, jest zbyt chwiejną podstawą, aby na nim cały gmach szczęścia budować. Trzeba mieć we własnej duszy podstawą inną, pewniejszą — ideał wyższy. Miłość jest to rzecz piękna, ale ona nie jest alfą i omegą bytu. Nie o nią więc jedynie chodzić powinno w małżeństwie — ale o ideał, o dobro. I tylko ta kobieta, która dąży do ideału, która chce stwarzać dobro — tylko taka może zapomnieć o sobie, może sobie powiedzieć: tu nie chodzi o to, czy mnie będzie na świecie źle, czy dobrze, ale o to, czy ja będę złą czy dobrą. Nie chodzi o zdobycie szczęścia, ani nawet miłości — chodzi o spełnienie obowiązku, to jest o wydanie z siebie jak największej summy dobra. Gdy raz tak kwestja postawiona, wszystko staje się jasne i proste.

Tak mówi pani Miłkowiczowa.

Tak, droga pani. Ma pani rację, zapewne. Ale, aby tak kwestję postawić, trzeba najprzód wyrzec się własnego szczęścia. A każdy człowiek dąży do szczęścia. Więc kobiety, gdy go w mężu nie znajdują, radzą sobie różnemi sposobami. Jedne przenoszą to szczęście aż na tamten świat, naprzykład ciocia; inne są dość samoistne, aby w samych sobie taki świat stworzyć i zadawalniać się poczuciem wypełnionego obowiązku; inne znowu szukają odurzenia i zapomnienia.

Ale nie ja! Mnie świadomość wypełnionego obowiązku nie uszczęśliwiłaby, a aż na tamten świat odkładać nie chcę. Ja tu chcę być szczęśliwą! tu, na tym świecie, nie w gronie świętych i aniołów, ani mędrców i filozofów — ale przy boku mojego męża, z nim i przez niego. Przecie mam do tego prawo — i niczego niegodziwego nie żądam. Dziękuję za te wielkie, bohaterskie cnoty, za te ofiary, i poświęcenia, i ten cały stoicyzm! Pani Miłkowiczowa — wzniosła dusza, doskonała istota. Ciocia — święta nawet może. Ale ja niechcę być ani świętą jak ciocia, ani doskonałą, jak pani Miłkowiczowa — chcę tylko być kochaną i zrozumianą kobietą.

O, Boże! wśród tego wszystkiego można głowę stracić!

Na szczęście, jutro wyjeżdżamy na cały miesiąc. Będziemy na wsi, wśród pól, wśród lasów — daleko od zajęć, kłopotów i niewoli miejskiej. Będziemy razem!

Może tam czeka nas owa błogosławiona chwila porozumienia.

VI.

Północ biła na katedralnym zegarze. Noc była grudniowa, ciemna i śnieżna. Z nieba, na którem bałwaniły się chmury, leciały na ziemię kłęby drobnego śniegu. Wiatrem rwane, obijały się o ściany domów, zmiatały się po dachach, rzucały się na chodniki, porywały się znowu i goniły po ciemnym, pustym placu. Latarnie migotały, gasły i rozpalały się, żółte i brudne wśród białych kłębów śniegu.

Z małego domku w jednej z bocznych uliczek, wyszło trzech mężczyzn. Nastawili kołnierze palt, wsunęli ręce w kieszenie, i szli powoli.

— Wiesz, Karolu, twój plan jest doskonały odezwał się z głębi barankowego kołnierza głos Rucza. „Jest żywotna, nagląca potrzeba takiej właśnie działalności. Tylko — jabym zrobił jedną uwagę: czemuby tu nie powołać kobiet naszych do pracy? To właśnie dla nich najodpowiedniejsze...“

— Kobiety bywają dzielne, zdolne i zręczniejsze od mężczyzn — wyrzekł trzeci, idący za niemi.

— Nicbym nie miał przeciwko temu w zasadzie — rzekł Karol — ale u nas takich kobiet niema. Spojrz dokoła siebie — kogóżbyś wybrał? Może Znajecką, może Lutyńską — co — albo Olecką może — co? No, komu tu poważniejszą sprawę powierzyć? — powiedzcie sami. Nasze kobiety, albo są obarczone dziećmi i obowiązkami, albo są pogrążone po uszy w dewocji, albo nic nie robią, i robić nie są w stanie. Zdolne, oczytane, o wszystkiem mówić potrafią — ale do pracy, to na nic — na nic!“

— Ja się z tobą nie zgadzam — zawołał Rucz. Masz taką np. Bąkowską; gdyby nie miała trojga siostrzeńców na karku, toż byłby z niej pyszny towarzysz!

— Ba! ale ma troje siostrzeńców — a czwartą starą matkę. Co tu więcej dodać?“

— A Użyńska?

— Użyńska? Ledwie żywa, biedactwo, ledwie na siebie zapracować może — i gdzie tylko może, to dopomaga. O niema co myśleć“.

Wiatr na zakręcie porwał jego słowa i rozniósł je gdzieś w dal. Tuman śniegu rzucił w twarz trzem rozmawiającym, i poleciał ulicą. Zamilkli. Głowy wsunęli głębiej w kołnierze, i szli dalej.

— A twoja żona? — wśród świstu wichru, rzucił Rucz pytanie.

— Dajże pokój święty! — odkrzyknął Karol, i rzucił niecierpliwie ramionami. — Także pomysł! Wanda do takiej roboty! Ani ona potrafi, ani sobie nie poradzi. Zamęczyłaby się, a potemby się zniecierpliwiła. Mogłaby siebie i innych narazić. Czyż takie kobiety mogą czemś tak poważnem się zająć? Ani jej wychowanie, ani warunki, ani otoczenie nie usposobiły jej do tego. Ale ten Rucz to zawsze ma jakieś dziwne pomysły...“

Stali na katedralnym placu. Miotały się tam tumany śnieżne — przelatywały przez pustą ciemność i ginęły gdzieś w górach. Wiatr wył i skowytał. Jakieś zawiasy gdzieś skrzypiały. Ostatnie listki jesienne, zeschłe i twarde, szeleściły i trzepotały się rozpaczliwie na drzewach.

Mężczyźni stanęli na rogu ulicy. „My tędy idziemy — do widzenia!“ rzekł trzeci towarzysz, podając Karolowi rękę.

A Rucz dodał:

— Bo ty nikomu nie ufasz, zwłaszcza kobietom. Uważasz je za lalki, dane nam do zabawy. A to są takież myślące, czujące istoty — nieraz od nas lepsze — a zawsze sprytniejsze. Naprzykład twoja żona — jestem pewien, że...

— Proszę cię, daj pokój mojej żonie — zaśmiał się Karol, ale z nutą zniecierpliwienia w głosie — pozwól, że, co do niej, ja wiem lepiej od ciebie, że ona nie...

— Właśnie, że nie wiesz! Ja ci ręczę...

— Mój drogi, śmieszny jesteś! Ja wcale nie życzę sobie, aby moja żona...

— A! tak, to co innego! — odparł Rucz sucho, i odwrócił się.

Karol skręcił na lewo ku domowi. Zły był. Potrzebne też to mieszanie się w jego domowe sprawy! Ten Rucz ani odrobiny taktu nie ma. Jakże można tak... komuś... o żonie! Czyż to wypada?

Zapewne, Wanda jest inteligentna, żywo czująca, skora do wszystkiego — to prawda. Ale nie do tego... nie do tego. Tu idzie o rzeczy zupełnie poważne. Onaby może się zgodziła — możeby ją z początku bawiła ta działalność, ta niby społecznap raca, to jakieś znaczenie. Ale prędkoby to ją znudziło! Tu przecie chodzi o nudną, jednostajną, wytrwałą pracę, o monotonne wypełnianie codziennie jednej i tej samej czynności. To dobre dla tych, które od wczesnej młodości przywykły do obowiązków, do trudu, do walki, nie zaś dla kobiet wychowanych w dostatku, wypieszczonych i wytwornych. To dobre dla takich panien Bąkowskich, Użyńskich, itp. — co to od dzieciństwa harują jak wyrobnice. I przed oczyma wyobraźni ujrzał wysoką, płaską, kościstą postać, z czerwonemi rękami i wyschniętą piersią, o bystrych oczach i poważnej, a zwiędłej przedwcześnie twarzy — i przy niej drugą, chudą, drobną, z bladą jak opłatek twarzyczką i z wielkiemi oczami, pełnemi ognia i duszy — i inne jeszcze, starsze i młodsze, o palących się spojrzeniach, o pochylonych barkach, jakby ugięte pod ciężarem wielkim, o skromnych ciemnych szatach i gładko zaczesanych włosach. Przesunęły mu się przed oczami — ciche, zmęczone, wlokące z trudem brzemię swoje — upadające prawie pod niem — brzydkie, zbiedzone — nawpół tylko kobiece. O, jakże nieponętne!

(C. d. n.)

Z UST GÓRALA ZAKOPIAŃSKIEGO.



II.

Przypowiadka o boginkach.

Za dawniejszych czasów, a dawniejsze czasy — przed stu laty — nazywają górale: drzewiej — znajdowały się boginki, innego rodzaju ludzie, w brzegach przykrych, co nie mogli ani ludzie nasi dójść ku nim. Ale trafiło się czasem, że ludzie widzieli je i słychowali podczas piątku, albo soboty przy wodzie, gdy prały, ale podobno nie kijanką, ani łachy, ale piersiami swojemi i oddawały głos, wyraźne echo.

Gdyby się była naszła kobieta nasza, naszego gatunku ludzi, żeby nie była na wywód z małem dzieckiem, to boginki miały prawo takie jej ukraść, — porwać ją i dziecko.

I naszła się taka jedna, toż boginki porwały najpierw jej dziecko, a swoje położyły w to miejsce. Tak potem, zajutro, wyszła ona kobieta

do pola do roboty, ku ziemniakom. Juści przyszły wnetki trzy boginki, a jedna z nich była kulawa. Pewno się jej cosi kajsi przydarzyło, czy się taka ulągła. I porwały te boginki tę żonkę. Uciekały z nią po polach. Haj. Wtenczas było pole trawą okryte i rozmaitemi kwiatami. Pomiędzy temi kwiatami jeden się nazywał zwonek. Juści ta kulawa boginka zostajała precz i tym zdrowym zazdrościła, bo jom odbiegały. I zawołała na kobietę ta kulawa: „Żonka, chyć się zwonka!“ Był to zwonek nie mocny, ale kwiatek ten ma takową moc, że jak się żonka uchyciła zwonka, to już boginki nie mogły uwlec ją precz, ani nie miały prawa.

Toż widzicie — i między nimi się naszła zazdrość, jako i między naszemi ludziami.

Wróciła z tamstela, z tego pola, do domu żonka, uratowana od boginki kulawej. Pielęgnowała dziecko boginczyne, bo myślała, że swoje. Przecie kobieta, jak swoje dziecko opiekuje dobrze, juści ono do roku, abo do półtora już chodzi na swoich nogach i gwarzy niektóre dobrze. A to boginczyne, pielęgnowała siedm lat, abo i ośm, a nic na swoich nogach nie chodziło, ani nie mówiło, a do ludzi niepodobne: niby to człowiek, ale pozior zwierzęcy. Zżarło, kielo uwidziało, wozgrzyło się ślinami, płaczem darło się, kwiczało po człowieczeńsku i po zwierzeńsku i cięgiemby było żarło.

Kobieta się już bardzo zmęczyła przy tem dziecku, mało żywa sama była, toż kotwiło się jej, a zresztą się i ludzi hańbiła, że ją takiem dzieckiem Pan Bóg nagodził. Ukrywała je, jako ino mogła, aż nie wiedziała co począć i udała się do księdza, czyby jej jako nie doradził. Toż ksiądz jej doradził, aby wlała do skorupki od jaja wody i pedziała, coby dziecko słyszało: „Bedem warzyła dziecku jeść“. A potem kazował jej wyjść do pola, a zrobić w ścianie takie okienko, coby dziecko nie wiedziało o niem — taką szparę małą, żeby mogła widzieć, co też ono będzie robiło w tej izbie, „A potem — nakazował ksiądz — przyjdziesz i powiesz, co ono robiło, kie ta woda wrzała na śniadanie w skorupie“.

Juści to dziecko siedziało cięgiem przez 8 roków w jednem miejscu, toż go miała na łóżku, bo wsze, jak swoje, opiekowała. Teraz, jak patrzyła szparką z pola, poziera, a ono skoczyło z tego siedliska, kany siedziało, zapłakało i nazwało swoją matkę matczyskiem, że mu ino telo warzy. Toż teraz pierszy raz ta żona go uwidziała na nożyskach brzyćkich, kie leciało ku temu śniadaniu, ozcapierzone, oślinione i drapało się po głowie, potem ozdarło jeszcze lepiej ręce i wrzeszczało, że to mało la niego.

Poszła ta kobieta do księdza i ozpowiedziała, co to dziecko poczynało, kie mu się jeść warzyła.

Ksiądz doradził jej tak: „Weź, wyrzuć to dziecisko na śmiecisko i bij miotłą brzezową, którą się izbę zamiata. I nie lutuj się nic, bo to dziecko nie twoje, ino odmienione od boginki. A tyś winna sama, boś nie była z małem na wywód, nie uczyniłaś, jako Bóg przykazuje.

I biła ta gaździna brzezową miotłą boginczyne dziecko może koło dwóch godzin bez zmiłowania, co już było ledwie żywe.

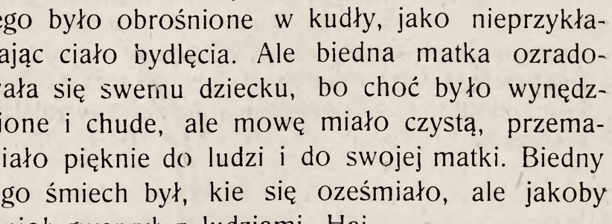
Dziecisko wrzeszczało, kwiczało, ryczało selenijakim głosem. Ozlegał się ten głos po krzakach, po brzegach, aż boginki usłyszały, poznały głos swojego dzieciska, uwidziały, że już ta matka wie, że to dziecisko nie jej. I zalutowały się, — wnetki przyniosły tamto insze i prasnęły jej: „Haw, masz!“ — a swoje porwały. Dyć i boginkom luto swojej krwie, a między chrześcijańskiemi matkami to selenijako bywa.

Było to dziecko bardzo wynędznione od tych boginek, bo chowały je korzeniami, haj, — i ciało jego było obrośnione w kudły, jako nieprzykładając ciało bydlęcia. Ale biedna matka ozradowała się swemu dziecku, bo choć było wynędznione i chude, ale mowę miało czystą, przemawiało pięknie do ludzi i do swojej matki. Biedny jego śmiech był, kie się oześmiało, ale jakoby janioł gwarzył z ludziami. Haj.

Teraz nimasz już boginek żadnych. Ale i to pedzieć trza, że nima i kobiet, żeby z małem dzieckiem nie szły na wywód. Pilno spełniają obowiązek i przybaczają se starodawne historje, co się z nimi działo od boginek.

Wyrazy gwarowe: drzewiej = dawniej, kotwiło się = przykrzyło, wsze = wciąż, kany = dokąd, som jest = są, lutować się = litować się, żałować selenijaki = różny.

M. Wysłouchowa.



Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Ks. Józef Londzin. *Stan szkół ludowych w Księstwie cieszyńskiem na początku XIX stulecia.* Lwów 1902. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 8-ka wielka, str. 43.

Ks. Londzin, któremu zawdzięczamy już dwie prace z dziedziny śląskiej pedagogji, obdarzył nas świeżo trzecią, bardzo sumiennie i wyczerpująco napisaną rozprawą, w której wyzyskany został umiejętnie materjał archiwalny. Skreśliwszy pokrótce dzieje szkolnictwa na Śląsku za panowania Marji Teresy i Józefa II., przystępuje autor do szczegółów. Omawia tedy najprzód szkołę główną w Cieszynie, uczniów, nauczycieli, środki finansowe, przyczem wydaje wykaz osobisty z r. 1797, z którego wynika, czem byli nauczyciele zatrudnieni i ile godzin przeznaczano na poszczególne przedmioty. W dalszym ciągu kreśli obraz szkół trywjalnych i średnich (ewangelickich i katolickich) kładąc szczególniejszą wagę na język ich wykładowy i podręczniki, używane do nauki, poczem omawia stan budynków szkolnych i urządzenia szkolnego. Najobszerniej, popierając rezultaty swoich badań tabelami statystycznemi, zastanawia się autor nad frekwencją szkolną i wynikami pracy nauczycieli. Praca ta kończy się krótkim ustępem o ówczesnych władzach szkolnych. *wi.*

*

Wacław Wolski. *Nieznanym.* Poezje. Serja pierwsza. Warszawa 1902. Nakład księgarni warszawskiej spółki wydawniczej, str. 278.

Zdaje się, jak gdyby z kart tego tomiku dusza poety wyglądała na świat bezbronnemi oczyma dziecka. Z pośród smutnych dusz pokolenia, jest to jedna z najsmutniejszych. Świat dla niej to ciemna, wroga pustka — ona w niej jak ognik błędny, przelatający nad mogiłami. Organizacja to poetycka, przeczulona aż do chorobliwości, tak wrażliwa, że zda się, iż każda reakcja na bodźce zewnętrze, t. zw. życia realnego, jest dla niej torturą. Obolała, samotna, bezradna zupełnie stoi ona wobec otoczenia, wobec przyrody zarówno jak wobec człowieka. Za słaba, żeby życie przekuwać w poezję, przymruża oczy i „jak pijany jedwabnik błyszczącym kokonem, omotuje się przędzą marzenia tęczową“... „Uciec, uciec przed życiem!“ — To hasło całej poezji Wacława Wolskiego. Jest on *par excellence* poetą marzenia. Ten „wyznawca księżyca“ znienawidził słońce, „życie, brutalny tłum dziki“, „wstrętne *homo sapiens* zwierzę“; „instynkt rozrodczy potężny... pod pozorem miłości pajaca i księżny plugawiący nieszczęsne, obłąkane duchy“ — ukochał natomiast zmierzch, półton, „półżywota żadność“... To też tam, gdzie, uciekając od życia, odtwarza marzenie, czy to symbolizując bóle swoje, zwątpienia i rozpacze w obrazach często siły i plastyki *sui generis* nie pozbawionych, jak we wielu ze swoich sonetów (głównie w najlepszym cyklu „mistika“), czy to rzucając je na tła nastrojowe krajobrazów (cykl sonetów „Tatry w zimie“, „Studja pejzażowe“) — tam jest sobą, i ma na swoje usługi obok formy zawsze poprawnej, często wykwintnej a nawet wyrafinowanej, środki szczerze artystyczne, wywołujące szczere artystyczne wrażenie. Gdzie jednak styka się bezpośrednio z życiem, tam opadają mu skrzydła i często zamiast wywołać współczucie... nuży, powtarza się, popada w gadatliwość. Wogóle tomik jego, przynoszący dorobek liryczny lat dziesięciu, zyskałby wiele, gdyby zeń wyeliminować przynajmniej jedną czwartą część, złożoną z utworów prawdopodobnie wcześniejszych, w których powyższe ujemne cechy tego talentu wyraźnie na jaw występują. Zyskałaby na tem ogólna fizjognomja artystyczna tego poety, nadewszystko miłością wielką do sztuki ożywionego, który, bądź co bądź (choćby za kilkanaście pierwszorzędnej wartości sonetów), zasługuje na miano „prawego artysty“. *A. C.*

*

Wacław Wolski. *Wzloty na Parnas.* Profile duchowe poetów współczesnych. Serja pierwsza. Warszawa 1901. str. 143.

Łatwo przewidzieć, że tego rodzaju organizacja, jak powyższa w ocenianiu innych organizacyj poetyckich, postępować sobie będzie wskróś subjektywnie.

Tak się ma rzeczywiście z tymi „profilami duchowymi“, z których kilka początkowych, są raczej recenzjami i z małą szkodą dla całości mogły być pominięte, tembardziej, że omawiają postacie przeważnie drugorzędne (Słoński, Siwiński, Agi Wdaj). P. Wolski na ogół trafnie pochwycić umie zasadniczo rysy danej indywidualności, zwłaszcza, jeżeli ma do czynienia z pokrewnemi sobie poniekąd organizacjami (Adamowicz, Dębicki, Staff, do pewnego stopnia także ciekawe bardzo studjum o Kazimierzu Tetmajerze), nadmiernie wybujała wrażliwość jego sprawiła jednak, że zawsze prawie „przerysowuje“ kontury swoich profilów, barwy jasne przejaskrawia, ciemne przeciemnia. Wogóle jednak, jak słusznie stwierdził Jan

Lorentowicz *(Mercure de France)*, ze wszystkich indywidualności w tym tomiku omawianych najwyraźniej zarysowuje się i najbardziej zajmującą jest indywidualność samego autora. *A. C.*

*

Podręcznik wyższej matematyki prof. Dra Placyda Dziwińskiego. W gronie profesorów Politechniki lwowskiej powstała uznania godna myśl wydawania polskich podręczników technicznych, któreby objęły stopniowo wszystkie przedmioty naukowe, wykładane na politechnice. Myśl ta została urzeczywistnioną w bieżącym roku wydaniem poważnego dzieła, poświęconego matematyce wyższej, napisanego przez prof. Dra Placyda Dziwińskiego. W ułożeniu swego dzieła obrał autor formę wykładową. Wychodząc z elementarnych pojęć liczby i przestrzeni, rozwija na wstępie zasady geometrji analitycznej w przestrzeniach 1-dno, 2-u, 3 i wielowymiarowych, — przeprowadzając przy sposobności badania form przestrzennych liniowych teorję wyznaczników rozmaitych rzędów, - w dalszym ciągu nawiązując do równań wyższych stopni, wykłada autor początki analizy wyższej i zasady rachunku różniczkowego z zastosowaniami geometrycznemi, kończąc tom ogólną i szczegółową teorją krzywych drugiego rzędu (przecięć stożkowych).

Całość zawarta jest w 61 wykładach, stanowiących tom I. wykładów matematyki kursu pierwszego na Politechnice lwowskiej.

Każdy wykład stanowi dla siebie odrębną całość, uzmysłowioną starannie wykonanemi rycinami i zawiera liczne, stosownie dobrane ćwiczenia z rozwiązaniami, tudzież tematy do rozprawek naukowych wraz z odnośną literaturą.

Zdaje nam się, że podobnie ułożonego podręcznika wyższej matematyki mogą nam pozazdrościć nawet bogate literatury naukowe innych narodów. Przypominamy, że szanowny autor wydał przed dwunastoma laty dla szkół średnich znakomity podręcznik algebry, którym wyrugował dawniej używane tłómaczenia podręczników niemieckich Mocnika i zyskał powszechne uznanie w sferach nauczycielskich.

Kończąc niniejszą notatkę, życzymy prof. Dziwińskiemu, aby przystąpił jak najrychlej do wydania drugiego tomu swych wykładów w takiej formie, jak się to stało z wydanym obecnie pierwszym tomem.

PISMA. *Przegląd Polski rozwoju przemysłu fabrycznego, handlu i rolnictwa.* Warszawa. Nr. 1, 2, 3, 4 za Kwiecień — Lipiec. W kwietniu rozpoczęło wychodzić nowe pismo warszawskie: „Przegląd Polski“. Jestto miesięcznik ekonomicznej treści, pismo oryginalne co do formy i treści.

Warunki zaboru rosyjskiego nie sprzyjają rozwojowi ekonomji politycznej. Przedewszystkiem brak tam możności oddziaływania na politykę ekonomiczną państwa, przystosowywania jej do interesów naszego społeczeństwa. Jestto fakt w ogromnej mierze nieprzyjemny dla rozwoju literatury społeczno-politycznej. Pocóż pisać, pocóż badać przyczyny naszych dolegliwości, środki ich ulżenia, skoro zastosowanie ich nie od nas zależy. Warunki otaczające przygniatają i budzą pragnienie zmian. Myśl odrywa się od tych warunków, chętnie chwyta się zapowiedzi zmian zasadniczych, naukowej wiary w materjalne potęgi, co z nieodwołalną koniecznością zdruzgoczą istniejące formy ekonomiczne, a wywołają inne, rozpoczyna się rozpatrywanie obecnych warunków z punktu widzenia przyszłych oddalonych okresów rozwoju i w tej perspektywie znikają różnice między naszemi warunkami a warunkami innych krajów. Niemożliwość naszej interwencji i żywiołowość rozwoju ekonomicznego wytwarza pewne kalectwo duchowe, którebym nazwał krzywiczyzną, od p. Krzywickiego, który był, a po części pozostał przedstawicielem u nas tego kierunku.

Myśl naukowa Zachodu urywkowo przenika do zaboru rosyjskiego i częstokroć ważne, epokowe niemal dzieło uczonego europejskiego przez długi czas pozostaje w Warszawie nieznane, a jakaś naukowa ramota, napisana z pewnym animuszem, sprowadzona przez jednego z niewielu z tych, co sprowadzają obce dzieła, obnosi się jako nowy zwrot w nauce. Brak uniwersytetów polskich i katedr ekonomji, seminarjów nauczycielskich, niedostateczna ilość instytucyj, któreby potrzebowały fachowych sił ekonomicznych i zapewniałyby byt pewnej ilości ludzi, pracujących w dziedzinie ekonomji — wszystko to wpływa bardzo ujemnie na rozwój literatury ekonomicznej w najważniejszej, najliczniejszej i najbardziej przemysłowej naszej dzielnicy.

Zapotrzebowanie jednak literatury ekonomicznej wywołuje się tam z jednej strony tą dążnością do samopomocy ekonomicznej, która coraz to bardziej przejawia się w społeczeństwie naszem, z drugiej strony ową chęcią do wyjścia z warunków, w których żyć ciężko.

Z tego, cośmy mówili o warunkach rozwoju naszej myśli ekonomiczno-politycznej w Królestwie, zrozumiałem dla nas będą właściwości nowego pisma. Nie jest to bynajmniej pismo przeznaczone dla specjalistów, gdyż stosunki zaboru rosyjskiego nie dają niemal specjalistów w tej dziedzinie wiedzy. „Przegląd Polski“, jest to pismo przeznaczone dla szerokiej publiczności, tej publiczności, która czytuje tygodniki postępowe warszawskie. Wszystkie artykuły „Przeglądu Polskiego“ są pisane żywo, zajmująco, pod względem jednak ścisłości naukowej pozostawiają niemal wszystkie bardzo wiele do życzenia. Połączenie popularności wykładu ze ścisłością naukową jest rzeczą możliwą, ale nie łatwą. Sprawozdań z literatury ekonomicznej Zachodu niemal nie spotykamy w „Przeglądzie Polskim“. P. Forszteter w art. „Nowa Krytyka ekonomji politycznej“, poświęca dużo uwagi pracom p. Galla, nad któremi przeszła nauka do porządku dziennego. Artykuły jednak p. Forsztettera, należą do najlepszych w „Przeglądzie Polskim“. P. Krzywicki, po raz nie wiem który od swoich artykułów „Czynniki upadku stanu włościańskiego“, drukowanych w „Głosie“, w których autor smutną przepowiadał proletaryzację chłopów, dowodzi, że rozwija się proces różniczkowania się i proletaryzuje włościaństwo. Do najsłabszych artykułów „Przeglądu polskiego“ należą artykuły p. Marchlewskiego na którego marksizm wpłynął zbyt silnie. Artykuł pana

Grabskiego „Uprzemysłowienie Galicji“ nie staje na poziomie zwykłych artykułów tego zdolnego ekonomisty. Autor jest zwolennikiem wyodrębnienia Galicyi, wspomina o mojej pracy o wyodrębnieniu, ale widocznie nie czytał mej książki w tym przedmiocie i utożsamia ją z dawnemi memi artykułami w tej kwestji, gdyż przytacza tylko dawniejsze moje argumenty, nie wyzyskując bynajmniej materjału zawartego w mej książce. Twierdzi wprost pan Grabski, że w razie wyodrębnienia, Galicja musiałaby ponieść znaczniejsze wydatki na wojsko, gdyż musiała by płacić proporcjonalnie do liczby swej ludności. Otóż wykazywałem, że w związkach państw nie rozkładają się wydatki na wspólne potrzeby, proporcjonalnie do ilości ludności, że Węgry nie płacą podług tej proporcji i jeżeliby do Galicji, pomimo tego, że jest słabszą ekonomicznie od Węgier, zastosować klucz węgierski, płacilibyśmy wówczas nie więcej od tego, co dziś ponosimy na wspólne wydatki.

Dodatnią stroną nowego pisma jest obfitość i umiejętny wybór notatek ekonomicznych, zawierających wiadomości o ważniejszych faktach ekonomicznych z zakresu naszych stosunków. Zajmujący jest też dodatek, w którym podaje się opisanie różnych zakładów przemysłowych i handlowych Królestwa. Dodatek ten został wywołany uświadomieniem potrzeby lepszego poznania naszego przemysłu dla zdobycia rynków naszych.

Nowe pismo podaje w każdym razie zajmującą i pożyteczną lekturę. Zewnętrzna strona jego przedstawia się estetycznie. Pismo to, dające do stu stronic druku, formatu dużej ćwiartki, kosztuje stosunkowo tanio, gdyż 6 K kwartalnie. Znaczna ilość inseratów przemysłowych umożliwia tę taniość pisma. *Wł. St.*

NOTATKI. *Trzystolecie zgonu Acerna.* Dnia 29. sierpnia, roku pańskiego 1602, dokonał w Lublinie pięćdziesięciu siedmiu lat żywota Fabjan Sebastjan Klonowicz, pisarz, który z współczesnych swoich najsilniej utrwalił się swem życiem w pamięci późniejszych pokoleń. Ale nie jest to zwyczajna sława literacka, tj. taka, w której dzieła tylko grają rolę same dla siebie w oderwaniu od życia, zajmującego o tyle, o ile stanowi przypadkowy grunt, na którym te dzieła wyrosły. Około osoby Acerna powstały legendy a dzieła grają rolę wypadków, tak silnie związanych z życiem współczesnem, że bez tego związku ani one, ani sam ich autor nie przetrwaliby tak żywo niwelującej pracy trzystu lat biegu świata. Żyli współcześnie poeci wyżsi talentem, ale nie było obok Klonowicza takiego, którýby osobą swoją i dziełami tak dalece należał do swego otoczenia.

Nie miejsce tu powtarzać dat bjograficznych; znajdzie je sobie każdy w pierwszym lepszym podręczniku historji literatury polskiej, ale warto zaznaczyć powody, które Klonowicza wyróżniają z pośród grona współczesnych. Pisał wiersze łacińskie i polskie, podobnie, jak wszyscy ówcześni pisarze, pisał je z mniejszym nakładem polotu poetyckiego, z mniejszym zasobem plastyki, barw i śpiewności — pisał, bo był to wówczas najlepszy sposób wypowiedzenia się na zewnątrz. Ale ani jego zdolności, ani aspiracje jego tam, gdzie stanął najwyżej, nie należą do dziedziny czystej sztuki poetyckiej. Acernus, to publicysta, który patrząc na życie współczesne, widział oddalenie rzeczywistości od tego, czemby ona być powinna i uczucia wywoływane świadomością tego oddalenia wciskały mu pióro w rękę. Taka *Victorja deorum* w której usiłuje dać przepis na prawdziwe szlachectwo w odróżnieniu od tego, czem się odznaczała t. zw. szlachta współczesna, taki *Worek judaszów*, w którym chłoszcze wady moralne swego otoczenia, nawet *Roxolania*, choć innego gatunku, bo opisowy poemat, to — gdyby autor ich trafił był na dzisiejszy rozwój dziennikarstwa — byłyby artykuły o wielkiej sile, prawdzie i wielkiej aktualności.

Tem tłómaczy się tajemnica rodzaju sławy Klonowicza. Każde z tych dzieł to wypadek współczesnego życia, który, jako aktualny dla współczesnych, odbijał się i na życiu samego autora. Taki człowiek, podobnie jak dzisiaj musiałby być wystawionym na reakcję ze strony zaatakowanych, tak też był i wówczas. Był więc i Klonowicz, napadano na niego a szczegóły tych starć jego z reakcją pozamieniały się z czasem w legendy, które pisarzom późniejszym, jak Syrokomla i Zieliński, posłużyły za materjał do dzieł poetycznych. Stąd Klonowicz dzisiejszemu pokoleniu więcej znany z opowieści o życiu i dziełach, niż z nich samych. One — i to także dzięki swojemu publicystycznemu charakterowi — stanowią dziś puściznę pisarską, niestrawną może, jako estetyczna rozrywka, ale ważną jako materjał historyczno-cywilizacyjny. Poetycznym stał się on sam, bo pisząc, działał i cierpiał dla swego najbliższego otoczenia i czasu.

*

Nieznany utwór Chopina. „Kurjer warszawski“ donosi: Ordynat Maurycy hr. Zamojski nabył w tych dniach cenną pamiątkę, która stanowi nieznany dotąd klejnocik twórczości wielkiego poety-kompozytora; jest nim „Walczyk“, wpisany własnoręcznie do albumu doktorowej Le Brun'owej, nigdy i nigdzie nie reprodukowany, który szczęśliwy nabywca, jak wiadomo, gorący wielbiciel muzyki, zamierza wydać w autografie na jeden z celów publicznych, oryginał zaś ofiarować następnie do zbiorów sekcji Chopina przy Towarzystwie muzycznem w Warszawie.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8